

# Wanda Leopold

---

## Wspomnienie o profesorze Andrzeju Waligórskim

---

Przegląd Socjologiczny Sociological Review 28, 336-341

---

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WANDA LEOPOLD

## WSPOMNIENIE O PROFESORZE ANDRZEJU WALIGÓRSKIM

Poznałam Go osobiście zaledwie kilka lat temu. Przedtem była to znajomość z lektury, korespondencji i... legendy. Legenda nie zataczała wprawdzie zbyt szerokich kręgów, ale za to miała mocne podstawy w części środowiska socjologicznego i kształtujących się nowych placówek afrykanistycznych. Prof. Waligórski — autentyczny uczeń Malinowskiego — i w tym sensie, że doktoryzował się u niego w roku 1938 w londyńskiej School of Economics, i w tym, szerszym, że świadomie dążył do kontynuacji wielu założeń swego nauczyciela, a jednocześnie ktoś, kto przez dwa lata (w latach 1946—1948) prowadził na terenie Kenii samodzielne badania terenowe nad plemieniem Luo — to samo było już wystarczające, by stworzyć jedyną w swoim rodzaju pozycję w środowisku polskich socjo- i etnologów. A także otoczyć właśnie pewną aurą legendy, takiej, która zazwyczaj tworzy się samoistnie wokół jedynych świadków ważnych spraw, szczególnie gdy są oni ludźmi skromnymi, nie chcącymi samym sobie przydawać rozgłosu. A takim właśnie człowiekiem był Andrzej Waligórski. Głosił przede wszystkim zasługi swego Mistrza i podkreślał co mu ma do zawdzięczenia nauka światowa i on osobiście.

Dzięki takiemu stanowisku prof. Waligórskiego czytelnicy polscy otrzymali wreszcie po latach przekład podstawowej pracy Malinowskiego *Argonaucci Zachodniego Pacyfiku* (Warszawa, 1967, PWN), która została opatrzona szkicem, skromnie zatytułowanym „Posłowie”, w którym prof. Waligórski jasno, zwięźle i, nie trzeba chyba dodawać, że nad wyraz kompetentnie przedstawił zarys teorii i nowatorskich ówczesznie poczynań i przemyśleń Malinowskiego. W tym pięknie napisanym szkicu (specjalnie to podkreślam, o powodach będzie dalej mowa) znalazły się poza tym nieznanne u nas, a tym bardziej za granicą, gdzie polska genealogia Malinowskiego jest najczęściej pomijana, szczegóły z jego krakowskiej młodości i podkreślone długotrwałe związki z Uniwersytetem Jagiellońskim i PAU. Znalazły się też żywe, osobiste wspomnienia z seminariów Malinowskiego, ukazujące jego metody pedagogiczne i kalej-

doskop ciekawych postaci, które brały udział w zajęciach. Szkic ten, który osobiście uważam za jedną z najcenniejszych prac prof. Waligórskiego, po raz pierwszy przybliżył wszechstronnie polskiemu czytelnikowi sylwetkę Malinowskiego i ukazał zarówno historyczne znaczenie jego dorobku, jak i niewygasłą aktualność wielu dyrektyw.

Ale szkic ten to tylko jeden z wielu przykładów mądrze rozumianej wierności Malinowskiemu. W gruncie rzeczy można powiedzieć, że cała twórczość i działalność prof. Waligórskiego były tej wierności dowodami. Działo się to w dwóch niejako płaszczyznach. Jedna, to systematyczne i wszechstronne zapoznawanie czytelników i swoich studentów z dorobkiem Malinowskiego. Uwieńczeniem tego jest wydana niepełna rok przed śmiercią książka *Antropologiczna koncepcja człowieka* (Warszawa, 1973, PWN). W publikacji tej, będącej niejako sumą zainteresowań teoretycznych i erudycji antropologicznej jej autora (której, niestety, zapowiadzanego drugiego tomu, już nie otrzymamy), więcej niż 1/3 tekstu poświęcona jest Malinowskiemu i jego dziełu i są to fragmenty pisane, poza wszystkim innym, z osobistym, niewygasłym zaangażowaniem.

Druga płaszczyzna — to kontynuacja we własnych badaniach zarówno zasadniczej postawy Malinowskiego, łączenia badań empirycznych z wnioskami teoretycznymi, jak i wielu jego bardziej szczegółowych wytycznych. Widać to wyraźnie w cyklu prac poświęconych Luo, którymi prof. Waligórski zajmował się do ostatnich chwil. Prawdopodobnie pozostała w papierach niemal ukończona monograficzna praca na ten temat. Dokonane w latach 1946—1948 w Kenii badania, przeprowadzone były z nabytą w szkole Malinowskiego pedantyczną szczegółowością i wszechstronnością (z której podkpiwało nieraz wielu krytyków Malinowskiego). Ale dzięki temu starczyło zdobytego materiału na wiele lat i opracowań rozmaitych problemów. Z tego cyklu pochodzi szkic *Studia nad więzią terytorialną i rodzinną wschodnioafrykańskiego plemienia Luo* („Etnografia Polska”, t. VII, 1963); skrypt z wykładów w Studium Afrykanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego pt. *Spółeczność afrykańska w procesie przemian 1890—1949. Studium wschodnioafrykańskiego plemienia Luo* (Warszawa, 1969, UW). Również na podstawie tych materiałów wysnuł prof. Waligórski pewne uogólnienia zawarte w artykułach w „Przeglądzie Socjologicznym”: *Gospodarka chłopska na terenach kolonialnych i pokolonialnych* (t. XIX/1, 1961) oraz *Problem białego osadnictwa w Kenii* (t. XXIII, 1969).

Właśnie od sprawy artykułów do „Przeglądu Socjologicznego” zaczęła się moja osobista z prof. Waligórskim, znajomość. Zajmowałam się bowiem wówczas z polecenia prof. Chałasińskiego organizacją materiału do afrykanistycznych numerów „Przeglądu” i było rzeczą oczywistą, że

bardzo zależało na uzyskaniu artykułów od kogoś, kto był jakby żywym uosobieniem wielkiej tradycji i autentycznej afrykanistyki. Korespondencja bywała ożywiona, gdyż od pierwszych kontaktów sumiennosc i poczucie odpowiedzialności prof. Waligórskiego ścierały się w Nim z różnymi przeszkodami i oporami. Od razu zastrzegał, że nie wie czy zdoła dotrzymać terminu ze względu na nawał obowiązków dydaktycznych, zły stan zdrowia i... ogólne trudności z pisaniem. Dopiero w czasie późniejszych, bezpośrednich spotkań zdałam sobie sprawę z istotnego znaczenia tych zastrzeżeń. Pomijając sprawę zdrowia płynęły one ze stawianych sobie wysokich wymagań. O jakości i nowatorskim zakresie Jego wykładów może dać pojęcie książka *Antropologiczna koncepcja człowieka*, która na materiale tych wykładów powstała. Ale poza wykładami była przecież inna codzienna praktyka uniwersytecka — seminary, referaty, prace magisterskie — o której trybie i charakterze napiszą zapewne Jego uczniowie. To, co uderzało postronnego obserwatora w rozmowach, dotyczących Jego pracy pedagogicznej, to ogromna życzliwość i opiekuńczość w stosunku do uczniów. Jego zainteresowanie ich losami i pracami towarzyszyło im poza magisterium, ich osiągnięcia wywoływały Jego żywą radość, która nasilała się szczególnie i nabierała cech sprawy niemal osobistej, kiedy były one związane z twórczym wykorzystaniem wpajanych przez Niego założeń. Tak było np. z pracą Grażyny Ungeheuer *Przemiany standardu kulturowego rodzin chłopskich (na przykładzie wybranych gospodarstw powiatu miechowskiego)*, o której wiele opowiadał, ciesząc się nią bardzo.

Stosunek do uczniów był zresztą odbiciem szerszej Jego postawy: ogólnej życzliwości wobec wszystkich, u których widział rzetelny stosunek w stawianiu i rozwiązywaniu problemów. Wyraźne to było choćby w Jego recenzjach z prac doktorskich i habilitacyjnych członków naszej Pracowni i późniejszego zainteresowania tymi osobami. A być może sprawa była jeszcze szersza: życzliwość w stosunku do ludzi, bezinteresowność, łagodność i pewna sceptyczna wyrozumiałość były w ogóle cechami Jego usposobienia, tym bardziej zauważalnymi, że nieczęsto je się dziś spotyka. W bezpośrednim obcowaniu okazywał się człowiekiem niezwyklej delikatności i wrażliwości. Typem tych ludzi, o których mówi się, że są „bez naskórka”, reaguja na najdrobniejsze dotknięcie, odczuwaja je silniej, są bez ochrony. Łączy się to często z dużym egocentryzmem. Ale nadwrażliwość prof. Waligórskiego obracała się i ku rozmówcy: traktował go według tej samej skali, czujny nieustannie by nie wywołać cienia choćby przykrości czy niemiłego skojarzenia. Śledził nieznacznie reakcje rozmówcy, jego intonację czy wyraz twarzy, gotów w każdej chwili do pokierowania na inne tory, jeśli odnosił wrażenie znudzenia czy zniechęcenia. W ogóle poza innymi umiejętnościami

znał też sztukę rozmowy (nie jest to chyba zbyt szumna nazwa dzisiaj, gdy rozmowa wygląda przeważnie w ten sposób, że ktoś jeden monologuje, a ktoś drugi słucha lub jest zmuszany do słuchania). Wydaje mi się też, że po horacjańsku cenił dobrą rozmowę z kimś przyjaznym przy dobrym trunku. Posiadał też wysoką umiejętność eleganckiego, delikatnego przekazywania trudnych czy kontrowersyjnych spraw. Ta wielka kultura obcowania z ludźmi nie zawsze była przez otoczenie doceniana i właściwie rozumiana i nieraz — paradoksalnie — utrudniała mu kontakt z ludźmi.

Moje spotkania z Nim i rozmowy toczyły się w Warszawie i w Krakowie. Warszawskie były mniej ciekawe: dominowały w nich bieżące sprawy, dla których przyjeżdżał, przeszkadzał pewien pośpiech. W Krakowie rytm czasu był spokojniejszy, odnosiłam też wrażenie, że lubi być gospodarzem i w swoim rodzinnym mieście, i w swoim niemal studenckim pokoju przy Placu Wolności. W tych rozmowach wyłaniało się stopniowo coraz więcej wątków, odsłaniały się nowe cechy osobowości. Motyw pisania. Wspominałam, że od początku uskarżał się na trudności w pisaniu. Poza przyczynami zewnętrznymi miały one i głębsze podłoże. Absolwent filologii angielskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczeń Romana Dyboskiego, ukończył te studia (w r. 1932) tak błyszcząco, iż otrzymał z Funduszu Kultury Narodowej stypendium do Anglii. Tam, jak wiadomo, „zdradził” literaturę i językoznawstwo dla antropologii. Pierwsza miłość odzywała się jednak do końca zarówno w świetnej znajomości kilku literatur światowych, jak i w ogólnej wrażliwości na formę, na celność i wdzięk sformułowania. Znał doskonale literaturę polską, angielską i niemiecką — a może i inne, w czym nie zdołałam się zorientować, ponieważ — zawsze bardzo skromny — lekceważył tę swoją wiedzę, traktował jako bardzo prywatne amatorstwo i w rozmowach ustawiał się jako ten, który chciałby się coś z tego zakresu dowiedzieć. Dopiero przy konkretnych problemach i utworach ujawniała się Jego wiedza i zamiłowanie. Szczególnie bliska była mu poezja, żył nią na co dzień, prawie zawsze na Jego biurku widziałam jakiś tomik poezji, niewątpliwie niekonieczny do ściśle zawodowej pracy.

I jeżeli w stosunku do ocenianych przez siebie prac ulegał jakimś słabościom lub jeżeli coś Go specjalnie urzekło, to fakt, że coś było „tak ładnie napisane”, że ktoś miał „taką łatwość pisania”. Czytając jakieś prace podkreślał z radością sformułowania, które wydawały mu się celne i udane. Twierdził, że sam owej łatwości pisania nie posiada, a w gruncie rzeczy była to znów w dużej mierze sprawa wysokich wymagań. Chciał, żeby każde zdanie było precyzyjne i ładne, nigdy mu się dostatecznie nie podobało, a nie potrafił tego zlekceważyć, szło więc pisanie rzeczywiście opornie. Jakikolwiek zresztą był splot przyczyn,

jedno, niestety nie ulega wątpliwości: dorobek, jaki zostawił w publikacjach, nie ukazuje w pełni ani bogactwa Jego zainteresowań, ani całej szerokości humanistycznych horyzontów, ani wielu znamiennych cech osobowości.

Krakowskie rozmowy, choć prawie zawsze przeplatane jakimiś cytatai, nie dotyczyły przecie wyłącznie literatury ani antropologii. Były w nich i barwne anegdoty o ludziach, całe opowieści o mitycznych niemal dla warszawiaków postaciach z dawnego krakowskiego Olimpu, i odsłaniały się też od czasu do czasu szczegóły z nienaukowej biografii samego Profesora. Prawie każdemu z Jego pokolenia historia wymięrzyła jakiś domiar, ale On go jeszcze powiększył własną fantazją i wyborem. Po zrobieniu doktoratu u Malinowskiego w r. 1938 wraca do Polski, przez rok zdąży pracować w Państwowym Instytucie Kultury Wsi. Zmobilizowany w sierpniu 1939, odbywa nie tylko całą kampanię wrześniową, ale walczy jeszcze dalej w nieregularnych półpartyzanckich oddziałach. W końcu dostaje się do obozu. Z obozu jednak ucieka i przez zieloną granicę przedostaje się na Węgry, a stamtąd dalej do Francji i Anglii. Do końca wojny służy w Anglii. Jego świetna znajomość angielskiego zostaje wykorzystana przez polskie władze wojskowe dla celów propagandy polskiej na terenie Wielkiej Brytanii. Po wojnie nagła, niezwykle szansa kenijska, którą podejmuje. Potem powrót do kraju. Dalszy ciąg bardziej już publicznie znany.

W zestawieniu z postacią spokojnego, delikatnego, wtulonego w fotel człowieka, te bujne dzieje nabierały jeszcze specjalnej wyrazistości i brzmiały też jak dalszy wariant tych jedynych w swoim rodzaju eposów krakowsko-polsko-światowych, których najbardziej znanymi bohaterami są Conrad i Malinowski.

Bywały w tych rozmowach czasem i melancholijne akcenty. Któż nie ma takich momentów, kiedy dokonuje obrachunku i saldo go nie zadawała? Komuż nie są potrzebne drobne choćby satysfakcje i dowody uznania, utwierdzające, pobudzające do dalszych wysiłków? A jakże często przychodzą one zbyt późno, gdy rezygnacja i zmęczenie zagarnęły już zbyt wiele w człowieku. Bywało tak w biografii prof. Waligórskiego; było tak choćby z Jego bardzo późną profesurą. Lekarstwa na te krople goryczy szukał też i w literaturze, przede wszystkim w poezji: w bezinteresownej, estetycznej radości i w analogii losów i spraw. Pamiętam, jak przy jednym ze spotkań, nad którym wisiała jakaś aura rozgoryczenia, wziął z biurka zaczytany tomik Gałczyńskiego i podnosząc go w górę, zacytował:

„Niechaj tam inni księgi piszą. Nawet  
niechaj im sława dźwięczy jak wieża studzonna,

ja książek pisać nie umiem, a nie dbam o sławę —  
Serwus, Madonna”.

I zaraz, lekko speszony, że dał się unieść osobistemu wzruszeniu i wyznaniu, zaczął się entuzjasmować poezją Gałczyńskiego, opowiadać o krakowskim pierwowzorze *Zaczarowanej dorożki* i innych anegdotach. Powiedziała mu wtedy żartobliwie, że w czasach mojej młodości, kiedy Gałczyński zaczynał swoją *Zieloną gęś*, wypisałam sobie też z niego dewizę, która wisiała nad biurkiem i brzmiała:

„Pracować trzeba jak cholera —  
Albośmy jacy tacy?  
Więcej Osmańczyka, mniej Grottgera,  
A wszystko będzie cacy”.

Wystarczy zmienić jedno słowo i czterowiersz nadal pozostaje aktualny — dodałam. Ale On nie podjął tego wątku — na groteskę miał mniej czułe ucho, a także był to dzień, w którym bronił się przed nakładaniem wszelkich nowych ciężarów.

Przytoczyłam zarys tej sceny, aby uwydatnić, jak Jego obcowanie ze sztuką było elementem codziennego, osobistego życia, a bywało też terapią i środkiem afirmacji.

Ostatni okres życia prof. Waligórskiego był zresztą pogodniejszy: osiągnięcia niektórych uczniów, pomyślne ułożenie się spraw własnych dzieci, rozmaite dowody zainteresowania jego książką o antropologicznej koncepcji człowieka, dalsze plany pisania, przygotowywanie międzynarodowej sesji poświęconej Malinowskiemu... Rozmowy były znów gęste od konkretnych spraw i nie brakowało w nich wesołości i humoru. Tym trudniej może przyjąć fakt Jego odejścia i pogodzić się z tym, że nie dokończy wielu spraw zaczętych, nie wesprze swoją wiarą i życzliwością różnych pomysłów, nie obdarzy więcej ludzi swoim pobudzającym zainteresowaniem.